



rozszerzenie – pogłębienie
zachodnia wspólnota wartości

tożsamość europejska

demokracja przedstawicielska – referendum

związek państw – federacja

Traktat Lizboński – konstytucja europejska



Heinrich August Winkler

Quo vadis Europa?

Unia Europejska
pomiędzy

rozszerzaniem a pogłębianiem

**FRIEDRICH
EBERT
STIFTUNG**



Heinrich August Winkler

Quo vadis, Europa?
Unia Europejska
między
rozszerzaniem a pogłębianiem

Konferencja i publikacja zostały zrealizowane we współpracy z Instytutem Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego

Tłumaczenie: Adam Peszke

Wydawca:

Fundacja Ericha Brosta przy Fundacji im. Friedricha Eberta,
Przedstawicielstwo w Polsce

Nieodpłatna dystrybucja:

Fundacja im. Friedricha Eberta, Przedstawicielstwo w Polsce
ul. Podwale 11, PL 00-252 Warszawa

© 2007 Fundacja Ericha Brosta przy Fundacji im. Friedricha Eberta,
Przedstawicielstwo w Polsce
ul. Podwale 11, 00-252 Warszawa

Opracowanie graficzne: Janusz Pilecki
Druk: GRAF

Wszelkie prawa zastrzeżone

Printed in Poland 2007

ISBN 9788386088829

Spis treści

1. Powitanie	
prof. dr hab. Rościsław Żerelik	4
<i>Dyrektor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego</i>	
Peter Hengstenberg	6
<i>Fundacja im. Friedricha Eberta, Przedstawicielstwo w Polsce</i>	
2. Quo vadis Europa?	
Unia Europejska pomiędzy rozszerzaniem a pogłębianiem	8
prof. Heinrich August Winkler	
<i>Uniwersytet im. Humboldta w Berlinie</i>	
3. Dyskusja	17

prof. dr hab. Rościław Żerelik
Dyrektor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego

Szanowny Panie Profesorze,
Szanowny Panie Dyrektorze,
Szanowni Państwo,

gościmy dzisiaj w Uniwersytecie Wrocławskim wybitnego znawcę najnowszych dziejów Niemiec i Europy prof. dr. hab. Heinricha Augusta Winklera z Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie wraz z małżonką oraz Petera Hengstenberga, koordynatora i dyrektora biura Fundacji im. Friedricha Eberta w Polsce, która wraz z Instytutem Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego zorganizowała to spotkanie.

Prof. Heinrich A. Winkler wygłosi wykład nt.: „Quo vadis, Europa? Unia Europejska między rozszerzaniem a pogłębianiem“. Nie ma godniejszego w naszym Uniwersytecie miejsca do rozważań na temat jedności Europy niż ta Aula Muzyczna, zwana Oratorium Marianum. To tutaj w dniu 4 stycznia 1881 roku odbyło się prawykonanie „Uwertury Akademickiej“ pod batutą jej kompozytora, doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego Johanna Brahmsa. Radosna i tchnąca życiem „Uwertura Akademicka“, znana od pierwszych słów jako *Gaudeamus igitur*, stała się powszechnym hymnem społeczności akademickiej całego świata. Mniej szczęścia miała sama Aula, zbombardowana i zniszczona podczas oblężenia *Festung Breslau* w 1945 roku, była następnie pieczołowicie odnawiana przez kilkadziesiąt lat. Swoje dzisiejsze piękno zawdzięcza m. in. Złotej Płycie, подарowanej przez Kolegów z Instytutu Herdera w Marburgu, a zawierającej kolorowe zdjęcia Oratorium Marianum, wykonane podczas wojny.

Prof. Heinrich A. Winkler jest autorem znakomitej książki „Długa droga na Zachód. Dzieje Niemiec 1806-1933“, która doczekała się w Niemczech dwóch wydań, a teraz także polskiego. Ma ona dla polskiego czytelnika szczególne

znaczenie. Jej lektura i następujące po niej przemyślenia z całą pewnością każą mi się zastanowić nad postrzeganiem dziejów tej części Europy, a także wpa-
janym mi od najmłodszych lat odwiecznym niemieckim parciem na wschód. Trafia ona do naszych rąk w najlepszym momencie, kiedy dialog polsko-
niemiecki o wspólnej przeszłości jest tak intensywny.

Życzę Państwu jak najlepszych wrażeń. Mam nadzieję także na kontynuowanie
rozpoczętej tym wykładem współpracy zarówno z prof. dr. hab. Heinrichem
Augustem Winklerem, jak i Fundacją im. Friedricha Eberta, reprezentowaną na
dzisiejszym spotkaniu przez jej dyrektora Petera Hengstenberga.

Peter Hengstenberg

Fundacja im. Friedricha Eberta, Warszawa

Szanowny Panie Profesorze Żerelik,
Dyrektorze Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego,
Szanowny Panie Profesorze Winkler,
Szanowny Panie Profesorze Ruchniewicz,
Szanowni Państwo,

Fundacja im. Friedricha Eberta zapraszała już wielokrotnie na odczyty, wykłady i dyskusje poświęcone teraźniejszości i przyszłości obu naszych krajów – Polski i Niemiec, sąsiadów i partnerów w Unii Europejskiej. Sporo miejsca zajmowało przy takich okazjach zagadnienie historycznych korzeni. Tak jest również dzisiaj. Profesor Heinrich August Winkler był już w październiku 2002 roku gościem Fundacji im. Friedricha Eberta i Centrum im. Willy’ego Brandta i mówił na tym uniwersytecie na temat „Polskie wyzwolenie, niemieckie zjednoczenie – trudna droga do rozwiązania dwóch kwestii stulecia“. Bardzo się cieszymy, że profesor Winkler przyjął zaproszenie Instytutu Historycznego i Fundacji im. Friedricha Eberta, aby wygłosić wykład „Quo vadis, Europa? Unia Europejska pomiędzy rozszerzaniem a pogłębianiem“ i podyskutować z nami na ten temat, mający pierwszorzędne znaczenie dla naszej europejskiej wspólnoty.

Zbliżaliśmy się do tego tematu tu we Wrocławiu w minionych latach z różnych perspektyw wraz z H.U. Klose, który postawił pytanie o przyszłość UE i NATO, z Erhardem Epplerem, który pytał „Jakiej Europy chcemy?“, z Angeliką Schwall-Düren, która dyskutowała z nami o punktach stycznych polityki Polski i Niemiec wobec wschodnich krajów objętych Europejską Polityką Sąsiedztwa.

Prof. Heinrich August Winkler analizuje zagadnienie istoty zachodniej wspólnoty wartości i łączy swoje przemyślenia z nader ciekawym i zasadniczym pytaniem o wzajemne relacje pomiędzy rozszerzaniem i pogłębianiem Unii Europejskiej, Unii, której zadaniem jest kształtowanie globalizacji pod wzglę-

dem politycznym, czyli w wymiarze polityki światowej, społecznym, społeczno-politycznym i kulturalnym.

To zasadnicze pytanie nie leży w gestii bieżącej polityki. Można na nie odpowiedzieć tylko wspólnym wysiłkiem rozmaitych aktorów, społeczeństwa obywatelskiego, naukowców, polityków, potrafiących spojrzeć poza czubek własnego nosa, w krajach partnerskich Unii Europejskiej. I jesteśmy świadomi, że musimy zadawać sobie to pytanie wciąż na nowo, stosownie do nieustannych zmian warunków ramowych w Europie i na innych kontynentach.

Quo vadis Europa? Unia Europejska pomiędzy rozszerzaniem a pogłębianiem

Heinrich August Winkler

Kiedy 23 czerwca 2007 roku rozpoczynał się ostatni tydzień prezydencji niemieckiej w Radzie UE, przyjaciele Europy mogli odetchnąć z ulgą: kryzys wokół odrzuconego Europejskiego Traktatu Konstytucyjnego wydawał się zakończony; szefowie rządów 27 państw członkowskich porozumeli się właśnie w Brukseli w sprawie głównych punktów rozwiązania zastępczego, niezależnie od tego, czy miałyby ono nosić nazwę „traktatu reformującego“, „traktatu podstawowego“ czy jeszcze inną. Było jednak coś, czemu w pozytywnych na ogół komentarzach poświęcono zbyt mało miejsca: nader rzadko mówiło się o głębszych przyczynach najcięższego dotychczas kryzysu Unii Europejskiej.

Powód do takiej samokrytycznej analizy przyczyn mieliby akurat Niemcy, i to nawet teraz, po podpisaniu 19 października w Lizbonie traktatu zastępczego. Decydujący chyba impuls do nadania Unii Europejskiej formalnej konstytucji wyszedł bowiem z Berlina. Było nim przemówienie, które federalny minister spraw zagranicznych Joschka Fischer wygłosił 12 maja 2000 roku na Uniwersytecie im. Humboldta. Powiedział w nim dosłownie: „Przejdźcie od związku państw do pełnej parlamentaryzacji w federacji europejskiej, którą Robert Schuman postulował już 50 lat temu. To zaś oznacza ni mniej ni więcej tylko europejski parlament i takież rząd, rzeczywiście sprawujące władzę ustawodawczą i wykonawczą w łonie federacji. Ta federacja będzie się musiała oprzeć na traktacie konstytucyjnym.“^[1]

[1] Joschka Fischer, *Vom Staatenverbund zur Föderation – Gedanken über die Finalität der europäischen Integration*, w: *Bulletin der Bundesregierung*, nr 29, 24.5.2000, s. 1-12. *Orzeczenie w sprawie zgodności Traktatu z Maastricht z konstytucją Niemiec* w: *Entscheidungen des Bundesverfassungsgerichts*, t. 89, Tübingen 1994, s. 155-212.

Początek miał zatem stanowić akt bez mała rewolucyjny: decyzja, by istniejący związek państw, jakim to mianem określił Unię Europejską Federalny Trybunał Konstytucyjny w swoim orzeczeniu z października 1993 roku w sprawie zgodności Traktatu z Maastricht z konstytucją Niemiec, przekształcić w federację. Jeśli nie wszyscy członkowie UE byli gotowi na taki krok, to przynajmniej ci, którzy chcieli współpracować ściślej niż inni, powinni byli podpisać traktat podstawowy jako rdzeń konstytucji, uchwalić opartą na nim federację i stworzyć w ten sposób „centrum grawitacji“ w łonie UE.

Jak wiadomo, nigdy nie było tego rodzaju decyzji – ani ze strony UE, ani ze strony jakiejś awangardy czy pionierskiej grupy jej członków. To, że do tego nie doszło, nie było zaskakujące. Ani we Francji, ani w Wielkiej Brytanii nigdy nie myślano o tym, by włączyć własny kraj do federacji europejskiej, która byłaby do złudzenia podobna do państwa związkowego w rodzaju Republiki Federalnej Niemiec. Nic takiego nie miał również na myśli francuski przewodniczący Komisji Europejskiej Jacques Delors, kiedy w styczniu 2000 roku mówił w wywiadzie dla „Le Monde“ o *Fédération des États-Nations*, czyli federacji państw narodowych.^[2]

Pojęcie „konstytucji“ nabrało jednak własnej dynamiki. Patronowało koniecznej od dłuższego czasu reformie instytucji i procesów decyzyjnych, wymuszonej przez rozszerzenie UE na Wschód. Stało się odpowiedzią na nieudany Traktat Nicejski z grudnia 2000 roku, który faktycznie uniemożliwił Unii Europejskiej mówienie jednym głosem. Konwent reformatorski, ustanowiony przez Radę Europejską w grudniu 2001 roku w Laeken, przedstawił w lipcu 2003 roku wynik swoich wysiłków pod tytułem „Traktat ustanawiający Konstytucję dla Europy“.

Przeciwko stosowaniu pojęcia „konstytucja“ były zastrzeżenia, których jednak nie uwzględniono. Dokładnie rzecz biorąc UE miała już przecież konstytucję, czyli swoje traktaty, a dopóki UE jest związkiem państw, decyzje w sprawie traktatów podejmują państwa członkowskie. Nie było i nie ma europejskiego narodu państwowego, europejskiej opinii publicznej ani zasługujących na to miano partii europejskich. Bez takiej demokratycznej substancji nie jest możliwa pełna parlamentaryzacja UE – stwierdził już w 1995 roku sędzia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Dieter Grimm, sprzeciwiając się z tego właśnie powodu apelom o konstytucję europejską: „Konstytucja europejska nie mogłaby

[2] Jacques Delors critique le stratégie de l'élargissement de l'Union, w: Le Monde, 19.1.2000.

zasypać istniejącej przepaści, musiałyby więc zawieść pokładane w niej oczekiwania. Legitymizacja, którą by dała, byłaby legitymizacją pozorną.^[3]

Rzeczywiście pojęcie „Konstytucja Europejska“ wzbudziło u jednych nadzieje, u innych obawy, w obu wypadkach nieuzasadnione, jeśli spojrzeć na tekst projektu opracowanego przez Konwent. Z obecnej perspektywy wydaje się, że upieranie się przy tytule „Konstytucja Europejska“ było obciążeniem dla pilnie koniecznego procesu reform. Nazwa ta była jedną z przyczyn tego, że w dwóch referendum – 29 maja 2005 roku we Francji i trzy dni później w Holandii – Europejski Traktat Konstytucyjny nie znalazł poparcia większości. To, czy nazwa mniej patetyczna, taka jak „traktat podstawowy“ czy „traktat zasadniczy“ zapobiegłaby klęsce, musi jednak pozostać sprawą otwartą.

Po fiasku próby przyspieszenia biegu historii za pomocą przesadzonych pojęć nasuwa się pytanie, dlaczego podjęto tę próbę. Po stronie niemieckiej istotną rolę odegrały tu trzy, po części ściśle związane ze sobą rodzaje myślenia życzeniowego: iluzja konwergencji, iluzja federalistyczna i postnarodowa. Przez iluzję konwergencji mam na myśli założenie, że pomiędzy oboma wielkimi celami procesu jednoczenia się Europy po 1990 roku, czyli rozszerzaniem i pogłębieniem UE, istnieje „harmonia wprzód ustanowiona“*, że, innymi słowy, pewna wewnętrzna konieczność sprawi, iż rozszerzanie doprowadzi do pogłębienia dzieła zjednoczenia. W rzeczywistości pogłębianie znalazło się daleko w tyle za rozszerzaniem.

U podstaw iluzji federalistycznej legło, świadomie czy nieświadomie, wyobrażenie o „RFN jako modelu“. Jednak po pierwsze są uzasadnione wątpliwości co do tego, czy niemiecki federalizm nadaje się na eksport, a po drugie możliwości zbytu istnieją tylko w niewielu państwach europejskich. W każdym razie we Francji i Wielkiej Brytanii, Polsce i Czechach z trudem ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić, że Paryż i Londyn, Warszawa i Praga mają w przyszłości mieć już tylko rangę stolic landów jak Monachium czy Drezno lub Schwerin czy Wiesbaden.

Iluzja postnarodowa wiąże się w znacznej mierze z tym, że Niemcom udało się doprowadzić do ruiny ich pierwsze państwo narodowe, czyli założoną przez

[3] Dieter Grimm, *Braucht Europa eine Verfassung?* w: D. G., *Die Verfassung und die Politik. Einsprüche und Störfälle*, München 2001, s. 215-254 (254).

* jedno z kluczowych pojęć systemu filozoficznego Gottfrieda Wilhelma Leibniza (przyp. tłum.)

Bismarcka Rzeszę Niemiecką. W okresie po 1945 roku wielu wysnuło z tego wnioszek, że państwo narodowe jako takie poniosło klęskę. Pierwsi reprezentowali ten pogląd katolicy konserwatyści. Przypisywali oni zgoła Niemcom szczególne posłannictwo europejskie, chętnie przywołując dziedzictwo średnio-wiecznego *Sacrum Imperium*. W ciągu kolejnych dziesięcioleci idea europejskiej misji RFN wędrowała z prawa na lewo, aż w końcu trafiła do grupy, którą można określić mianem „lewicy postadenauerowskiej“.

Jej rzecznikiem uczynił się w 1988 roku ówczesny wiceprzewodniczący SPD Oskar Lafontaine. W swojej książce „Die Gesellschaft der Zukunft“ („Społeczeństwo przyszłości“) postulował nie tylko generalnie „przewyciężenie państwa narodowego“, lecz przede wszystkim z faktu, że Niemcy mieli „najstraszniejsze doświadczenia z wynaturzonym nacjonalizmem“, wysnuł wniosek, że z tego powodu są oni „bez mała predestynowani do roli siły napędowej ponadnarodowego jednoczenia się Europy“.^[4] Wynaturzenie dzielił zatem od predestynacji tylko jeden krok: śmiała dialektyczna wolta, przypominająca wczesnochrześcijańską figurę myślową *felix culpa*, błogosławionej winy. To pseudohistoryczne i pseudoteologiczne uzasadnienie aspiracji RFN do przewodzenia Europie nie znalazło poza Niemcami aprobaty. Nikt nie zaprzeczał, że Niemcy doprowadzili do upadku swoje państwo narodowe. Z tego jednak jeszcze nie wynikało, że Niemcom wolno odmawiać innym prawa do ich państwa narodowego.

O starej Republice Federalnej historyk i politolog Karl Dietrich Bracher mógł powiedzieć najpierw w 1976 i ponownie w 1986 roku, że jest ona „postnarodową demokracją wśród państw narodowych“.^[5] Do zjednoczonych Niemiec ta formuła już się nie odnosi. Jest to postklasyczne państwo narodowe jak wiele innych, silnie zintegrowane z ponadnarodowym związkiem państw, jakim jest UE i gotowe sprawować swą suwerenność po części wspólnie z innymi państwami członkowskimi, a po części również przekazywać ją ponadnarodowym instytucjom wspólnotowym.

Niemiecka polityka pożegnała się z retoryką postnarodową i dobrze, że tak się stało. Bowiern roz powszechniona obawa, że skutkiem przynależności do UE

[4] Oskar Lafontaine, *Die Gesellschaft der Zukunft. Reformpolitik in einer veränderten Welt*, Hamburg 1988, s. 188 i nast.

[5] Karl Dietrich Bracher, *Die deutsche Diktatur. Entstehung, Struktur, Folgen des Nationalsozialismus*, Köln 1976, wyd. 6., s. 544; Karl Dietrich Bracher, *Politik und Zeitgeist. Tendenzen der siebziger Jahre*, w: K. D. Bracher i in., *Republik im Wandel 1969-1974. Die Ära Brandt (=Geschichte der Bundesrepublik Deutschland, t. V/1)*, Stuttgart 1988, s. 285-406 (405 i nast.).

będzie w dłuższej perspektywie utrata tożsamości narodowej, szkodzi projektowi zwanemu Europą. Unia Europejska nie chce przewyżczać narodów, lecz tylko przerzucać nad nimi mosty. Historyk Hermann Heimpel jest autorem słów: „Fakt istnienia narodów jest tym, co historycznie stanowi o europejskości Europy“.^[6] Być może należałoby raczej powiedzieć, że istnienie narodów to jedna z cech konstytutywnych Europy. Istnieją też bowiem inne cechy, o których Europejczycy muszą sobie przypomnieć, jeśli chcą traktować poważnie pojęcie „pogłębienia“ i rozumieć je nie tylko jako reformę niedoskonałych traktatów. Zapomina się przy tym często, że są to cechy Europy nie w sensie geograficznym, lecz tylko części starego kontynentu: tej części, którą od wieków nazywa się Zachodem.

Tylko w tej części Europy, której centrum duchowym był w średniowieczu Rzym, czyli należącej do Kościoła zachodniego, istniały wczesne formy podziału władz, oddzielenie władzy duchownej od świeckiej, książęcej od stanowej. Tylko tu proces podziału władz postępował aż do nowoczesnego podziału w rozumieniu Monteskiusza, czyli oddzielenia od siebie władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Tylko tu miała miejsce recepcja prawa rzymskiego. Tylko tu dokonały się procesy emancypacji związane z humanizmem i renesansem, reformacją i oświeceniem.

Często się słyszy i czyta, że nowoczesna Europa to produkt oświecenia. Nie jest to błędne, ale wymaga uzupełnienia: oświecenie to produkt Europy, rezultat jej długiej historii, z której nie da się usunąć ani dziedzictwa klasycznej starożytności, ani judaizmu i chrześcijaństwa. Bez samo-oświecenia chrześcijaństwa, które zaczęło się już w średniowieczu, nie byłoby oświecenia świeckiego; bez słów Jezusa „Oddajcie cesarzowi co cesarskie, a co Boże Bogu“ – oddzielenia władzy świeckiej od duchownej i nowoczesnego podziału władz; bez wiary w równość wszystkich ludzi przed Bogiem nie przebiłaby się idea równości ludzi przed prawem; bez starożytnej i chrześcijańskiej wiary w niepisane, wieczne prawa nie byłoby deklaracji niezbywalnych praw człowieka: cechy Zachodu są zakorzenione w historii głębiej, niż chce to dostrzec wielu przekonanych Europejczyków.

„Europa to nie (tylko) Zachód. Zachód wykracza poza Europę. Ale Europa wykracza też poza Zachód“.^[7] Te słowa wiedeńskiego historyka Geralda Stourzha

[6] Hermann Heimpel, *Entwurf einer deutschen Geschichte*, w: H. H., *Der Mensch in seiner Gegenwart. Acht historische Essays*, Göttingen 1957, s. 162-195 (173).

[7] Gerald Stourzh (red.), *Annäherungen an eine europäische Geschichtsschreibung*, Wien 2002, s. XI.

trafiają w sedno. Wciąż jeszcze dają się odczuć skutki podziału na Kościół zachodni i wschodni. Na obszarze prawosławia, gdzie władza duchowna była niezmiennie podporządkowana świeckiej, a władza książęca nie ścierała się z władzą stanów i miast, sytuacja rozwijała się inaczej niż na Zachodzie: bez procesu podziału władz, niezwykle ściśle związanego z wytworzeniem się społeczeństwa pluralistycznego, państwa prawa i demokracji.

Te osiągnięcia nie są jednak zasługą wyłącznie Europy: pierwsza deklaracja niezbywalnych praw człowieka to „Virginia Declaration of Rights“ z 12 czerwca 1776 roku; trzy tygodnie później nastąpiło ogłoszenie Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki, w której identyfikację z prawami człowieka ujęto w zaledwie jednym, ale niezwykle treściwym zdaniu. Na gruncie kolonii brytyjskich w Ameryce Północnej udoskonalono dawne angielskie prawa jednostki, idee *representative government*, *checks and balances*, *rule of law* i nadano im ich klasyczną formę. To, co nazywamy nowoczesną demokracją, kulturą polityczną Zachodu, wartościami zachodnimi, to wynik współpracy transatlantyckiej. Była ona pełna napięć i taka pozostała. Ale jeśli Europa spiera się dziś ze Stanami Zjednoczonymi o interpretację zachodnich wartości, to jest to spór o odmienne wnioski z tych samych wartości. Ten, kto zaleca Europie budowę jej tożsamości politycznej przeciwko Ameryce, postępuje dalece ahistorycznie.

Wartości zachodnie ulegały i ulegają zmianom. Mają one swoją historię i ten, kto się do nich poczuwa, powinien ją znać i szanować. Wartości te kryją się za kryteriami kopenhaskimi z 1993 roku, które musi spełnić ten, kto chce zostać członkiem UE. Nie trzeba należeć do historycznego Zachodu, żeby zostać przyjętym do Unii Europejskiej. Ale kto chce zostać członkiem tego związku państw, musi bez zastrzeżeń otworzyć się na kulturę polityczną Zachodu. „Otwarcie się bez zastrzeżeń na kulturę polityczną Zachodu“: w nim właśnie Jürgen Habermas upatrywał w 1986 roku – podczas „sporu historyków“ o bezprecedensowość dokonanej przez narodowych socjalistów zagłady Żydów – tego intelektualnego dokonania epoki powojennej w Niemczech Zachodnich, z którego może być dumnie zwłaszcza jego pokolenie. Gotowość do takiego otwarcia się powinna być kryterium nadrzędnym, rozstrzygającym o tym, czy dany kraj dojrzał do przystąpienia do Unii Europejskiej.^[8]

[8] Jürgen Habermas, *Eine Art Schadensabwicklung. Die apologetischen Tendenzen in der deutschen Zeitgeschichtsschreibung* (pierwodruk w: DIE ZEIT, 11.7.1986), w: *Historikerstreit. Die Dokumentation der Kontroverse um die Einzigartigkeit der nationalsozialistischen Judenvernichtung*, München 1987, s. 62-76 (75).

To, czy dotychczas rokowania akcesyjne zawsze podejmowano i prowadzono w myśl tej dewizy, to już inna sprawa. Osiem państw Europy Środkowo-Wschodniej przyjętych do UE 1 maja 2004 roku, a przed epokowym przełomem 1989/90 rządzonych przez komunistów, to bez wyjątku kraje dawnego Zachodu. Dzielią one z Europą Zachodnią w znacznej mierze wspólną tradycję prawną, czyli fundament, na którym może się oprzeć harmonizacja kultur politycznych. W wypadku krajów nowo przyjętych 1 stycznia 2007 roku sytuacja jest inna. Bułgaria i Rumunia nie należą do dawnego Zachodu, a większość współczesnych problemów tych krajów ma związek z ich niezachodnim dziedzictwem, dziedzictwem panowania bizantyjskiego i osmańskiego. Dowodem na to, że kraje prawosławnego kręgu kulturowego potrafią się otworzyć i otworzyły się na kulturę polityczną Zachodu, jest Grecja, należąca do UE od 1981 roku. Jej okcydentalizacja rozpoczęła się jednak już znacznie wcześniej, podczas walk o niepodległość w pierwszym trzydziestoleciu XIX wieku.

Bez pogłębienia nie będzie dalszego rozszerzania: w zasadzie nie jest to w UE kwestionowane. To samo, przynajmniej teoretycznie, dotyczy postulatu, że Europa może się zrosnąć tylko wtedy, kiedy wytworzy poczucie „my“, świadomość wspólnoty i solidarności. Pogłębienie bez poczucia „my“ to sprzeczność sama w sobie, ale także szeroko rozpowszechniona technokratyczna iluzja. Wytworzenie europejskiego poczucia „my“ od koła podbiegunowego po Peloponez to zadanie trudne, ale nie nierozwiązywalne. Czy jednak możliwe jest europejskie poczucie „my“ od Karelii po Kurdystan?

W Turcji, z którą UE prowadzi rokowania akcesyjne od października 2005 roku, nastąpiła częściowa okcydentalizacja – w sensie geograficznym i politycznym. Z jednej strony mamy do czynienia z nowoczesnym zachodem kraju, z drugiej zaś z częściowo archaicznym jeszcze wschodem, zwłaszcza południowym wschodem; przyjęcie wielu zachodnich kodeksów, w tym jednak również takich, które obowiązywały w faszystowskich Włoszech, nie oznaczało jednak uznania tego, co Monteskiusz nazwał *esprit des lois*, czyli duchem praw. W Turcji nie doszło, jak często się twierdzi, do rozdziału Kościoła od państwa, lecz do faktycznego upaństwowienia islamu, któremu towarzyszy nacjonalistyczna cywilna religia – kemalizm. Do wolności religii i przekonań krajowi nad Bosforem jest nadal daleko, nie mówiąc już o samokrytycznym rozliczeniu własnej przeszłości. Ten, kto przypomina o mordzie na Ormianach, w którym kajzerowskie Niemcy odegrały rolę współnika, musi nadal liczyć się z postępowaniem z § 301 (zreformowanego) kodeksu karnego, zgodnie z którym za obrazę tureckości

grożą surowe kary. W latach 2005-2006 liczba wyroków skazujących z tego paragrafu się podwoiła. Nadal też armia jest państwem w państwie i siłą, która rości sobie prawo weta wobec decyzji rządu posiadającego demokratyczną legitymację. Postępy na drodze ku demokracji za rządów Erdogana są lub były znaczne. Jednak od czasu rozpoczęcia rokowań akcesyjnych w październiku 2005 roku tempo reform uległo znacznemu spowolnieniu. To zaś, czy zwycięstwo wyborcze AKP w lipcu 2007 roku można uznać za oznakę okcydentalizacji, jest sprawą otwartą.

Rokowania akcesyjne z Turcją są prowadzone, jak podkreśla UE, „bez przesądzania ich wyniku“. Decydujące pytania nie zostały jeszcze zadane: ani pytanie, czy Turcja chce się otworzyć na kulturę polityczną Zachodu, ani pytanie, czy jest gotowa sprawować elementy swojej suwerenności wspólnie z innymi państwami członkowskimi lub przekazywać je instytucjom ponadnarodowym. Jeśli w wyniku rokowań akcesyjnych okaże się, że nie ma warunków do pełnego członkostwa, to nie może to doprowadzić do rozłamu pomiędzy Europą a Turcją. Wtedy trzeba będzie kontynuować rokowania, tym razem w sprawie innego celu: „stowarzyszenia plus“, które byłoby zresztą mniej dyskryminujące niż owo „członkostwo minus“, które zaoferowała Turcji UE, lub (jak to zaproponowałem w listopadzie 2002 roku w artykule dla tygodnika DIE ZEIT) w sprawie „uprzywilejowanego partnerstwa“ – czyli specjalnych relacji, które nie będą nadmiernym obciążeniem dla żadnej ze stron i w wystarczającym stopniu uwzględnią ich wspólne interesy.^[9]

Praca nad pogłębieniem Unii Europejskiej wymaga też refleksji nad bolesną przeszłością. Europa, tak jak i cały Zachód, nie uniknie rozliczenia się z ponurymi rozdziałami swojej historii. Do europejskiej i zachodniej samoświadomości należy historyczna samokrytyka: zrozumienie przyczyn i skutków handlu niewolnikami i niewolnictwa, kolonializmu i imperializmu, wojen i wojen domowych, zaślepienia religijnego i ideologicznego, nienawiści rasowej i ludobójstwa. Uświadomiony obraz europejskiej historii obejmuje zarówno to, co przez długi czas dzieliło te narody, jak i to, co je ze sobą łączy. Duma z osiągnięć kulturalnych Europy bez zrozumienia winy, jaką Europa i jej narody obarczyły się w ciągu wieków – taki obraz historii byłby zdradą kryteriów, które Zachód wytworzył w toku żmudnego i długotrwałego procesu uczenia się.

[9] Heinrich August Winkler, *Wir erweitern uns zu Tode*, w: DIE ZEIT, nr 46, 7.11.2002.

Traktat Lizboński, jeśli rzeczywiście wejdzie w życie, może przyczynić się do tego, że UE zachowa zdolność do działania, a jej procesy decyzyjne staną się nieco bardziej przejrzyste. Nie wystarczy jednak do wyeliminowania szeroko rozpowszechnionego poczucia, że w UE panuje „usamodzielniona potęga władzy wykonawczej”. (Autorem tego pojęcia jest Karol Marks, który w 1852 roku scharakteryzował za jego pomocą francuski bonapartyzm za panowania Ludwika Napoleona Bonaparte, późniejszego cesarza Napoleona III).^[10]

Parlament Europejski otrzyma dzięki temu traktatowi więcej praw, co jest rzeczą nie cierpiącą zwłoki. Ponieważ jednak decyzje w sprawie traktatów podejmują nadal państwa członkowskie, parlamenty narodowe muszą wziąć na siebie więcej europejskiej odpowiedzialności: mogą one, jeśli będą wysłuchiwane przed podejmowaniem zasadniczych decyzji, np. o przyznaniu statusu kandydata krajowi ubiegającemu się o członkostwo, zapobiec temu, by takie decyzje zapadały jak dotychczas za zamkniętymi drzwiami, po czym były prezentowane opinii publicznej jako *fait accompli*. Kontynuacja polityki faktów dokonanych oznacza bezdyskusyjne rządy na czas nieokreślony. Może to być zgodne ze skrytym życzeniem niektórych aktorów, ale na dłuższą metę przyczyni się do zniszczenia projektu zwanego Europą.

Traktat Lizboński może tylko odrobinę przybliżyć UE do celu, jakim jest jej pogłębienie. Właściwa praca jeszcze przed nami. Wykracza ona znacznie poza reformę instytucji i procesów decyzyjnych, wymaga też więcej niż tylko pełnego zaangażowania „klasy politycznej”. Pogłębienie dzieła jednoczenia się Europy może się powieść tylko wtedy, kiedy społeczeństwo obywatelskie, intelektualności, naukowcy i publicyści uznają je za swój projekt. Muszą oni pracować nad czymś, czego jeszcze nie ma lub czego pierwsze oznaki dopiero się pojawiają, od czego jednak projekt zwany Europą zależy bardziej niż od czegokolwiek innego: nad powstaniem europejskiej opinii publicznej.

[10] Karol Marks, *Osiemnasty brumaire'a Ludwika Bonaparte*, Warszawa 1975, s. 167.

D Y S K U S J A

Peter Hengstenberg: Szanowny Panie Profesorze, dziękujemy Panu za Pański wielce interesujący wykład o Unii Europejskiej pomiędzy rozszerzaniem i pogłębianiem, spoglądający daleko wstecz na naszą przeszłość, a zarazem naświetlający przeszłość mniej odległą oraz naszą europejską teraźniejszość. Jednocześnie odbieramy Pańskie przemyślenia jako inspirację do naszych wspólnych rozważań o dalszej przyszłości Unii Europejskiej i jej współdziałaniu z innymi regionami tego świata.

Quo vadis Europa?

W naszej dyskusji z Panem, która za chwilę się rozpocznie, będziemy na pewno mogli omówić również – proszę mi pozwolić na tę sugestię – następujące zagadnienia:

Jak możemy interpretować „nie“ Francuzów i Holendrów, czyli w obu wypadkach członków-założycieli unii europejskiej?

Czy „harmonia“ pomiędzy rozszerzaniem i pogłębianiem Unii Europejskiej uległa zburzeniu po ostatnim rozszerzeniu o Rumunię i Bułgarię lub przynajmniej na dłuższy czas przestała istnieć?

Jeśli chodzi o rozszerzanie, które leży na sercu również Polsce, a to ze względu na jej wschodnioeuropejskich sąsiadów: podkreśla Pan konieczność „otwarcia się bez zastrzeżeń“ krajów chętnych do akcesji „na kulturę polityczną Zachodu“ i mówi, że „gotowość do takiego otwarcia się powinna być kryterium nadrzędnym, rozstrzygającym o tym, czy dany kraj dojrzał do przystąpienia do Unii Europejskiej“. Jak możemy stosować w naszym działaniu ten niewątpliwie bardzo istotny postulat? Jak można przy tym uwzględnić polityczne, geostrategiczne i inne ważne kryteria, a także zmianę zewnętrznych warunków ramowych?

Wszystkim 27 krajom członkowskim Unii Europejskiej zależy na ich suwerenności. Najwyraźniej jednak w różnym stopniu. Jakim zmianom podlega koncepcja suwerenności w procesie integracji europejskiej i w toku nasilającej się globalizacji?

Niemalą „Europejczyków“, zwłaszcza młodych ludzi, postrzega UE jako odpowiedź lub reakcję na globalizację. Na pierwszy plan wysuwają się u nich głównie motywy ekonomiczne. Pokój i bezpieczeństwo, bezpieczeństwo socjalne i solidaryzm społeczny są jak się wydaje na drugim planie. Jakie wartości mają (nadal) siłę konstytutywną w toku naszego procesu integracji europejskiej?

Co do Pańskiego, tak ważnego postulatu „ukształtowania się europejskiej opinii publicznej“: Jaki konkretny wkład możemy w to wnieść?

Pytanie: Zasadnicze pytanie dotyczące traktatu podstawowego: Polska zaproponowała podczas rokowań tak zwany system pierwiastka kwadratowego w odniesieniu do głosowań w Radzie Europejskiej; Niemcy upierały się przy systemie podwójnej większości. Niemcy postawiły na swoim. Czy nie byłoby lepiej, gdyby właśnie Niemcy ze względu na tragiczną przeszłość Polski i na to, że była ona ofiarą nazistowskich Niemiec wykazały w tej kwestii większą otwartość na polską propozycję? I drugie pytanie: czy nie było tak, że Joschka Fischer zaproponował przekształcenie UE z Konfederacji Europejskiej w Federację Europejską?

Prof. Heinrich August Winkler: Ten spór – o ile się nie mylę – został już rozwiązany, także dzięki odłożeniu na później wprowadzenia nowej procedury głosowania, a ten kompromis należy zaakceptować. Osiągnięto go po długich dyskusjach i sądzę, że odpowiada on ambicjom wszystkich stron. Będzie istniała nowa procedura, która uczyni UE zdolną do działania, ale przez szereg lat będą jeszcze nadal możliwe głosowania według dotychczasowych procedur, czyli regulacji nicejskich. Potem – jeśli mniejszości zabraknie niewielkiej liczby głosów do zablokowania danej decyzji – będzie nawet jeszcze możliwość odłożenia głosowania i jego późniejszego powtórzenia. Jest to kompromis, na który zgodziła się Unia Europejska. Myślę, że w ten sposób usunęliśmy i tę rozbieżność.

Joschka Fischer, jeśli wolno mi to jeszcze raz sprecyzować, nie powiedział, że związek państw dokonał już jakościowego skoku w kierunku utworzenia fede-

racji, lecz w swoim przemówieniu z maja 2000 roku postulował, by decyzja ta koniecznie poprzedziła uchwalenie konstytucji. A zatem najpierw, jak ująłem to wcześniej, rewolucyjna decyzja o przejściu od związku państw do federacji, a następnie konstytucja dla tej federacji. Albo – ale nie jako model alternatywny, lecz przejściowy – stworzenie traktatu dla grupy członków szczególnie chętnych do współpracy, gdyby UE jako całość nie chciała zrobić tego kroku, kroku od związku państw do federacji. Ciekawie byłoby podyskutować dziś z Joschką Fischerem o tym przemówieniu. Przemówienie to zawiera szereg sprzeczności. Joschka Fischer przewidywał wtedy, że rządy państw Unii Europejskiej powinny należeć do gremium porównywalnego mniej więcej z Bundesratem w Republice Federalnej Niemiec. Z jednej strony Komisja Europejska, bezpośrednio odpowiedzialna przed Parlamentem, czyli egzekutywa i legislatura, z drugiej zaś, jako organ reprezentacji państw członkowskich, coś w rodzaju Bundesratu. Potem jednak w tym samym przemówieniu zaoferował jeszcze raz alternatywnie model amerykańskiego Senatu. Tam zaś, jak wiadomo, nie są reprezentowane rządy poszczególnych stanów, lecz poszczególne stany wybierają po dwóch członków tego Senatu. W tym wypadku rządy nie byłyby zatem już w ogóle reprezentowane na szczeblu europejskim.

Zadziwiające, chociaż Fischer nie przemawiał wtedy jako minister, że żaden z jego współpracowników nie powiedział mu, iż jest to mało realistyczne. W każdym razie już kilka dni później Fischer otrzymał odpowiedź od francuskiego ministra spraw zagranicznych Huberta Védrine’a we „Frankfurter Allgemeine Zeitung“, gdzie wytknięta została właśnie ta sprzeczność. Uważam też, że Fischer niewłaściwie zrozumiał pojęcie *Fédération d'États-nations*, które zaczerpnął od Jacques’a Delorsa. *Fédération* po francusku to nie to samo co *Föderation* po niemiecku, po angielsku zaś *fede-ration*, tak zwany *f-word*, to już coś nieledwie obscenicznego. Podobnie w USA, gdzie przez *federalism* rozumie się właśnie bez mała centralizm, czyli silną władzę federalną, nie zaś jak po niemiecku silne kraje związkowe, które mogą współuczestniczyć w ustawodawstwie państwa jako całości. Jest tu więc cały szereg sprzeczności, które skłaniają do zastanowienia, dlaczego nie przedyskutowano tego wcześniej i intensywniej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Berlinie. W każdym razie oddźwięk w innych państwach członkowskich był generalnie raczej negatywny. Myślę, że akceptacji można było oczekiwać tylko od Belgii i Luksemburga. Od Belgii ze względu na jej skrajnie trudną sytuację państwa dwunarodowego, gdzie tożsamość europejska niemal się narzuca. W przypadku Luksemburga jest to zaś tradycja małego państwa, moim zdaniem dobrze dająca się wytłumaczyć jego

historią. W żadnym innym państwie członkowskim nie było pełnej zgody na propozycję Joschki Fischera, lecz raczej bardzo dużo sprzeciwu.

Osobliwie jest zatem, że mimo tej sprzeczności zachowano pojęcie „konstytucji“, przez którą Fischer miał na myśli coś zupełnie innego. Pojęcie „konstytucji“ zrodziło wyobrażenie, że Unia Europejska przybiera charakter podobny do państwa. Niektóre debaty, także te, które prowadzono w Polsce choćby o odwołaniu do Boga, pasują do klasycznej konstytucji, ale nie do statutu organizacji, jakim w gruncie rzeczy był traktat konstytucyjny.

Można by mówić dalej o patetycznych złudzeniach architektów europejskiego traktatu konstytucyjnego. Przewodniczący konwentu reformatorskiego, Valéry Giscard d'Estaing, zaproponował preambułę do tego traktatu w postaci pewnego cytatu z Tukidydesa, dokładniej mówiąc była to preambuła do preambuły. Cytat ten brzmiał mniej więcej tak: Ponieważ opieramy nasze panowanie na większości, nazywamy się demokracją. Słowa te pochodzą ze słynnej mowy pogrzebowej Peryklesa. Jednak, czego Giscard d'Estaing zupełnie nie zauważył, to nie był pogląd Tukidydesa. Uważał on to wystąpienie za przemówienie czysto propagandowe, tam zaś, gdzie wypowiada się na temat Peryklesa, mówi krytycznie: „Choć więc z imienia była to demokracja, w rzeczywistości były to rządy pierwszego obywatela“*. Stąd moja propozycja – mniej patetycznych cytatów i pojęć, lecz możliwie dokładna analiza rzeczywistości i opracowanie na podstawie istniejącego stosunku sił takiego modelu, który ma szansę być przedmiotem consensusu.

Pytanie: Mówiąc o pogłębianiu integracji nie wolno pominąć kwestii społeczeństwa obywatelskiego UE, włączania społeczeństw do Unii. Jak można to osiągnąć, skoro dla przeciętnego obywatela, także w naszym kraju, idea europejska jest przysłonięta przez europejską biurokrację? Jak powinno się zachęcać obywateli do tego, by interesowali się sprawami europejskimi? W związku z tym pojawia się zagadnienie tożsamości europejskiej. W Polsce mówiono o tym dużo przed naszym przystąpieniem do UE. Teraz ten temat wydaje się być *passé*. Czy na ten temat toczy się w ogóle dyskusja? Jeśli tak, to w jakich warstwach społeczeństwa? Jeśli założyć, że idea europejskiej tożsamości jest pozytywna, to jak możemy ją dalej rozwijać?

* Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przekład Kazimierz Kumaniecki, Wrocław 1991, s. 157-158

Prof. Heinrich August Winkler: Bardzo dziękuję za to pytanie, pani Ruchniewicz. Mam wrażenie, że to, co nazwałem poprzednio „polityką faktów dokonanych“, wiąże się z tym, iż bynajmniej nie tylko Komisja Europejska, lecz również Rada Europejska podejmuje decyzje w bardzo istotnych sprawach – na przykład nawiązania rokowań akcesyjnych z krajem starającym się o członkostwo lub przyznanie statusu kandydata krajowi, który chce przystąpić do UE – bez wcześniejszej publicznej debaty czy to w parlamentach krajowych, czy to na forum opinii publicznej. Klasycznym przykładem jest decyzja szczytu UE w Helsinkach w grudniu 1999 roku o przyznaniu Turcji statusu kandydata. Nie było wcześniej na ten temat żadnej debaty. Rozpoczęła się ona później, ale towarzyszyło jej już uczucie postawienia w obliczu faktów dokonanych. Niewiele inaczej było wtedy, gdy następnie w 2002 roku w Kopenhadze ustalono harmonogram, zgodnie z którym te rokowania akcesyjne miały się rozpocząć w październiku 2004 roku. Mój pierwszy wniosek brzmi zatem tak: trzeba wysłuchać parlamentów krajowych. Parlamente krajowe muszą poważniej niż dotychczas traktować swą odpowiedzialność europejską. I nawet jeśli może to oznaczać pewną zwłokę, równoważę to z powodzeniem zwiększenie legitymizacji. To byłaby pierwsza część mojej odpowiedzi.

Jeśli chodzi o część drugą: nie wolno oczekiwać, że europejska opinia publiczna czy europejska wspólnota obywatelska ukształtują się wyłącznie w wyniku działań odgórnych. Nie wolno tego oczekiwać wyłącznie od rządów czy Komisji Europejskiej, lecz musi ona wyrosnąć z samego społeczeństwa. Społeczeństwa obywatelskie, intelektualiści muszą postarać się o to, by przewyciężyć twierdzenie o „Europie jako projekcie elit“ lub to, co się za nim kryje. Dotychczas było tak, że projekt zwany Europą był głównie sprawą elit, a co gorsza był to właściwie tylko projekt klasy politycznej. Czy pamiętają Państwo, żeby w roku 2004, kiedy Polska i siedem innych państw Europy Środkowo-Wschodniej przystąpiło do UE, toczyła się jakaś wielka intelektualna dyskusja publiczna w całej Unii Europejskiej? Brakowało mi tej dyskusji. W Niemczech debata intelektualna o procesie ponownego zjednoczenia kraju odbyła się pomiędzy upadkiem muru berlińskiego a ponownym zjednoczeniem niecały rok później, nie było jednak porównywalnej debaty intelektualnej o ponownym zjednoczeniu Zachodu, które nastąpiło 1 maja 2004 roku. Europejscy intelektualiści muszą się sami uderzyć w piersi, muszą się sami przywołać do porządku z powodu swojego milczenia! To przede wszystkim intelektualiści są odpowiedzialni za to, by od projektu elit przejść do projektu społeczeństwa. To jest Państwa zadanie, zadanie nas wszystkich!

Życzylbym sobie również od historyków, żeby wnosili aktywniejszy wkład w to dzieło. Ponieważ średniowiecze było tak europejskie, mediewiści myślą znacznie bardziej w kategoriach europejskich niż historycy zajmujący się dziejami najnowszymi, którzy nadal pozostają pod przemożnym wpływem państwa narodowego. Tu zaczyna się myślenie europejskie! Tu można współdziałać w tworzeniu obywatelskiego fundamentu, nie w sensie *bourgeois*, lecz *citoyen*. Jest to zadanie, z którym możemy się uporać tylko wtedy, gdy sami wraz z innymi weźmiemy się za nie we wszystkich państwach członkowskich Unii Europejskiej, ale także w państwach, które chcą stać się jej członkami. Tożsamość, jak myślę, rośnie przecież tylko od dołu do góry. Ważne jest przy tym, by nie pojmować tożsamości w skali europejskiej jako alternatywy lub zgoła przeciwieństwa tożsamości narodowej.

Cytowałem wcześniej słowa Hermanna Heimpla: „Fakt istnienia narodów jest tym, co historycznie stanowi o europejskości Europy“. Dlatego też Europa nie będzie nigdy mówić w jednym języku. Miejmy nadzieję, że w wielu sprawach jednym głosem, ale nie w jednym języku. Angielski jako *lingua franca* jest dobry do pragmatycznego porozumiewania się, ale celem Europy nie powinno być ustanowienie jednego jedyne go języka negocjacji, czy to w Parlamencie Europejskim, czy w Radzie Europejskiej. Nie przysłużyłoby to się dobrze projektowi zwanemu Europą. Jednoczenia się Europy nie da się tak łatwo porównać z projektem tworzenia się państwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Jest książka, która ukazała się pośmiertnie, po śmierci Johna F. Kennedy’ego, książka tego amerykańskiego prezydenta o Stanach Zjednoczonych pod tytułem „A Nation of Immigrants“ – o Europie nie można by tak powiedzieć. Europa składa się właśnie z wielu narodów, a te narody nie chcą zniknąć, potrzebują jednak, jeśli chcą mieć coś do powiedzenia w świecie, przypominającego kopułę dachu, którym chce być Unia. Do tego potrzebna jest pomoc jej obywateli i obywateli. Cytowałem uprzednio Jürgena Habermasa i Dietera Grimma – dwóch niemieckich intelektualistów. W połowie lat dziewięćdziesiątych Jürgen Habermas postulował konstytucję europejską, a uzasadniając to powiedział mniej więcej tak: „Europejska opinia publiczna wyrośnie na glebie europejskiej konstytucji“. Była to w gruncie rzeczy wiara w odgórną rewolucję. Stanowisko Dietera Grimma było takie: „O konstytucji europejskiej powinno się mówić dopiero wtedy, kiedy pojawi się europejska opinia publiczna, a także europejskie partie, istniejące nie tylko na papierze, europejskie grupy interesów“. W tym wszystkim rządy nie mogą wyręczyć społeczeństwa. Nie mogą w tym wyręczyć nas. Nad tym musimy pracować. Nie wierzę w odgórną rewolucję jako przełom prowadzący do

pogłębionej Europy, lecz uważam, że musimy się o to postarać my sami, a zwłaszcza Państwa pokolenie.

Pytanie: Jako Ukrainka pragnę zauważyć, że UE jest otwarta tylko dla swoich krajów członkowskich. Dla ludzi z Europy Wschodniej jest zamknięta. Jest to problem nie tyle polityczny, co społeczny. Podczas gdy politycy komunikują się ze sobą i rozmawiają o wizach, możliwościach podróżowania i studiowania, Ukraińcy i Białorusini nie mają możliwości podróżowania do UE i nawiązywania kontaktu z obywatelami UE. To wielki problem. Europa jest podzielona, a to nie jest demokratyczne. Jak można przezwyciężyć ten podział?

Prof. Heinrich August Winkler: Istnieje ten podział Europy i im bardziej rozszerza się teraz tak zwana strefa Schengen, tym wyraźniej widać, że są to nowe europejskie granice. Uważam to za błąd, jeśli Unia Europejska mówi jakiemuś europejskiemu krajowi: nigdy, przenigdy nie wolno wam stać się członkiem Unii Europejskiej, wszystkie miejsca są zajęte. Niestety w ostatnich latach można było usłyszeć tego rodzaju komentarze dobiegające z Brukseli i nie tylko stamtąd. Jest to zresztą następstwo decyzji o zaoferowaniu rokowań akcesyjnych Turcji. Bowiem poczucie, że jeśli dojdzie Turcja, to ta Europa całkowicie utraci sterowność, doprowadziło do tego, że innym krajom powiedziano: tylko nie myślcie, że i wy jeszcze możecie zostać członkami. Zrobiono wyjątek dla państw zachodniobałkańskich, ponieważ z powodów strategicznych dla UE jest jasne, że tylko ona może tu odegrać rolę stabilizującą. Dlatego istnieją widoki na akcesję dla krajów zachodniobałkańskich, które w bardzo różnym tempie zbliżają się do punktu, gdy niezależnie od stowarzyszenia będzie można zastanowić się nad rokowaniami akcesyjnymi. Myślę, że w wypadku Serbii potrwa to najdłużej ze względu na panujący tam skrajny nacjonalizm.

Jeśli zaś chodzi o Ukrainę, to uważam, że Ukraina, która spełni kryterium „otwarcia się bez zastrzeżeń na kulturę polityczną Zachodu“, musi mieć wszelkie szanse stania się członkiem Unii Europejskiej. Ta decyzja leży całkowicie w rękach Ukrainy. Wybór opcji zachodniej – nie tylko na papierze, lecz rzeczywiście zakotwiczonej w instytucjach i mentalności, konsekwentne otwarcie na kulturę polityczną Zachodu musi doprowadzić do tego, że UE otworzy Ukrainie perspektywę rokowań akcesyjnych. Gdyby Białoruś i Mołdawia były tak daleko zaawansowane jak Ukraina, to samo dotyczyłoby oczywiście obu tych krajów. Tylko warunki nie są takie, żeby zacytować Berta Brechta. Jesteśmy bardzo dale-

ko, mam nadzieję, że nie lata świetlne od sytuacji, gdy będzie można mówić o okcydentalizacji Białorusi. Ale byłbym rad, gdyby społeczeństwo obywatelskie na Białorusi uzyskało możliwość takiego rozwoju, by udało się przezwyżyć ten straszny dyktatorski system Łukaszenki. Dopóki ten reżim jest u władzy, dopóty będzie istnieć granica i nie będzie też widoków na to, by przyjąć to państwo do Unii Europejskiej, czy to jako członka stowarzyszonego, czy to któregoś dnia również jako jej pełnoprawnego członka. Wcześniej musi tam nastąpić radykalny przełom. Wiedzą Państwo lepiej niż ja, jak daleko lub jak blisko Ukrainie do punktu, kiedy można powiedzieć: jest to kraj, który w rozumieniu Kryteriów Kopenhaskich spełnia warunki rozpoczęcia rokowań akcesyjnych. Ale powiem Państwu otwarcie, byłbym rad, gdyby ten dzień niebawem nadszedł. Być może nowy, reformatorski rząd zdobędzie większość i będzie mógł stymulować ten proces. Uważałbym to za wielki zysk – nie tylko dla Polski, lecz dla całej Europy.

Pytanie: Pragnę wrócić do zagadnienia społeczeństwa obywatelskiego, a mianowicie do przejścia od Europy elit do Europy społeczeństwa. Pragnę się dowiedzieć, czy uważa Pan referenda za dobre rozwiązanie. Czy powinny się odbywać krajowe referenda dotyczące poszczególnych decyzji w łonie UE, czy referenda ogólnoeuropejskie? Czy powinniśmy jako społeczeństwo decydować o tym, że np. Turcja i inne kraje zostaną przyjęte do UE? Jeśli miałyby to być jeden z instrumentów urzeczywistniania właśnie takiej wspólnej Europy, to w jaki sposób i w przypadku jakich decyzji? Jak widzi Pan możliwości realizacji?

Prof. Heinrich August Winkler: Jestem zdeklarowanym zwolennikiem demokracji przedstawicielskiej. Oba referenda, we Francji i w Holandii w 2005 roku nie przekonały mnie, że demokracja plebiscytarna jest lepsza niż demokracja przedstawicielska. Dlaczego? Podczas francuskiego referendum 29 maja 2005 roku powstała faktyczna koalicja, sięgająca od skrajnej prawicy, od Le Pena, po komunistów. Współpracowały tam siły spod znaku „nie“, które w praktyce nigdy nie mogłyby działać razem, których przynajmniej nie można sobie wyobrazić jako politycznej koalicji. Jest to zasadniczy czynnik, który należy uwzględnić, mówiąc o referendach. W tym wypadku dochodzi do tego również fakt, że w prawie wszystkich referendach, które odbyły się dotychczas w sprawach europejskich, krajowy punkt widzenia odgrywał znacznie większą rolę niż zagadnienia polityki europejskiej. Dotyczy to również referendum francuskiego i holenderskiego. Istnieje wielka pokusa, by pokazać danemu rządowi to zółtą, to czerwoną kartkę, nawet jeśli temat jest zupełnie inny – na przykład Traktat

z Maastricht lub właśnie Europejski Traktat Konstytucyjny. Nie sądzę więc, by można uczynić politykę europejską bliższą obywatelom na drodze referendum, lecz uważam, że musimy zacząć od istniejących, posiadających demokratyczną legitymację, krajowych organów przedstawicielskich – czyli parlamentów. Muszą one zostać silniej włączone w europejski proces podejmowania decyzji, to zaś doprowadzi być może do bardziej intensywnej dyskusji na forum opinii publicznej w poszczególnych krajach. Jeśli kiedyś rzeczywiście chodziłoby o konstytucję europejską, to moim zdaniem będzie się mogło odbyć ogólnoeuropejskie referendum. W bliższej perspektywie takie ogólnoeuropejskie referendum niestety nie ma szans, bowiem cały szereg rządów powie: to byłby właśnie dokładnie ten punkt, kiedy konstytuuje się europejski naród państwowy, gdy suwerenność narodowa ulega likwidacji. Muszą się Państwo w każdym razie liczyć z wetem Wielkiej Brytanii, ale być może weto nadeszłoby też z Warszawy lub innych stolic Unii Europejskiej?

W wielu państwach członkowskich Unii Europejskiej brakuje w każdym razie gotowości uznania czegoś w rodzaju europejskiego suwerena, europejskiego obywatelstwa jako decydenta. Dlatego w dającej się przewidzieć przyszłości ogólnoeuropejskie referendum nie stanowi realistycznej perspektywy. We Francji, skoro wspomniał Pan o Turcji, zmieniono konstytucję tak, że w sprawie każdej akcesji kraju ubiegającego się o członkostwo musi odbyć się referendum. Oznacza to, że zgodnie z obecną sytuacją konstytucyjną we Francji drogą referendum można obalić akcesję Turcji. I wielu prorokuje, wzięwszy pod uwagę badania opinii publicznej, że dokładnie tak mogłoby się stać, gdyby rokowania przyniosły rezultat pozytywny. Także w Austrii za sprawą obietnicy złożonej przez rząd Wolfganga Schüssela przewidziano w takim wypadku referendum. Ponieważ jestem przekonany zwolennikiem demokracji przedstawicielskiej, nie sądzę, by referenda doprowadziły w tym wypadku do wyniku proeuropejskiego. Obawiam się raczej, że w ten sposób zmobilizowane zostaną tylko narodowe resentymy. Demokratyczną legitymację powinny zapewnić demokracje przedstawicielskie. To zaś oznacza, że parlamenty krajowe muszą same znacznie bardziej odpowiedzialnie włączać się w politykę europejską i współuczestniczyć w podejmowaniu takich decyzji jak rozpoczęcie rokowań akcesyjnych lub przyznanie statusu kandydata. Uważam, że z referendum Europa miała dotychczas w ogromnej większości negatywne doświadczenia.

Pytanie: Chciałbym jeszcze tylko dodać, że szanuję pogląd, iż demokracja przedstawicielska powinna być uznawana za instrument, ale właśnie na tej

podstawie w 2005 roku w Holandii odrzucono traktat konstytucyjny. Referendum w sprawie konstytucji ujawniło wielki rozdział pomiędzy elitami i społeczeństwem. Jedną z przyczyn odrzucenia traktatu był protest przeciwko elitom i całkowity brak zaangażowania społeczeństwa w rozwój Unii od samego początku. Wielu obserwatorów uważa, że wynik holenderskiego referendum był właśnie skutkiem braku zaangażowania społeczeństwa. Dlatego wydaje mi się, że instytucjonalizacja referendum mogłaby zapewnić legitymizację działań na szczeblu Unii Europejskiej.

Prof. Heinrich August Winkler: Fritz Stern, amerykański historyk, który urodził się we Wrocławiu i zdaje się w tej Sali otrzymał tytuł doktora honoris causa, przebywał w ostatnich latach przez dłuższy czas w Holandii. Powiedział mi: społeczeństwo holenderskie przeżywa, zwłaszcza po zamordowaniu Theo van Gogha, kryzys tożsamości. I wielu obserwatorów, także samych Holendrów, mówi, że wynik holenderskiego referendum jest przejawem tego kryzysu tożsamości – lęku przed zalaniem obcym żywiołem, przed utratą tożsamości narodowej. Myślę, że to była główna przyczyna tego, iż referendum zakończyło się słynnym „nee!” dla Europejskiego Traktatu Konstytucyjnego. Powtórzę raz jeszcze, jeśli wziąć oba te przykłady razem, czyli referendum francuskie i holenderskie, to okaże się, że było mnóstwo powodów, by głosować w ten właśnie sposób. Częściowo był to czysty oportunizm, choćby wśród części francuskich socjalistów, skupionych wokół Laurenta Fabiusa. Słusznie wspomnieli Państwo wcześniej Europę społeczną – we francuskim referendum jedni głosowali przeciwko Europie, bo uważali, że traktat konstytucyjny przyniesie zbyt wiele Europy, inni zaś powołując się na argument, że jest w nim za mało wymiaru socjalnego. Głosowali przeciw, bo wydawało im się, że ta Europa przynosi im wciąż jeszcze za mało treści. A zatem ze skrajnie odmiennych, sprzecznych pobudek w jednym kraju powiedziano „non“, a w drugim „nee“. Nie sądzę zatem, że referenda są optymalną drogą do celu. Będą one zawsze narażone na niebezpieczeństwo, że bieżące niezadowolenie, skierowane także przeciwko własnemu rządowi lub własnej większości parlamentarnej, doprowadzi do tworzenia się takich koalicji, które w przeciwnym razie nigdy nie mogłyby powstać w praktyce. Z dziejów Niemiec w okresie Republiki Weimarskiej mógłbym podać Państwu przykłady referendum, w których współdziałali ze sobą narodowi socjaliści i komuniści. Choćby w 1931 roku, kiedy chodziło o usunięcie z urzędu demokratycznego rządu koalicyjnego w Prusach. Przy częstym stosowaniu plebiscytów mają szansę artykułować się destruktywne większości, natomiast w demokracji przedstawicielskiej zawsze na początku jest debata i nie zawsze chodzi o „tak“ i „nee“,

lecz także o wprowadzanie zmian w istniejących projektach ustaw. Tego wszystkiego nie mają Państwo w referendum i odważę się na prognozę: kto ma nadzieję, że referendum uratuje Europę, zostanie prawdopodobnie niebawem skonfrontowany z tym, że po ewentualnym zwycięstwie wyborczym torysów w Wielkiej Brytanii odbędzie się referendum w sprawie Traktatu Lizbońskiego, które zakończy się wynikiem „nie“. Chyba, że rząd postawi alternatywę: albo wystąpienie z Unii Europejskiej, albo „tak“ dla Traktatu Lizbońskiego. Ale właśnie tego rząd torysów by nie zrobił. Ryzyko, że Traktat Lizboński rozbije się o jakieś referendum, jest niezwykle wysokie.

Długa, cierpliwa droga przez organiczne rozszerzanie praw parlamentów narodowych w określonych kwestiach zasadniczych jest, moim zdaniem, solidniejsza i może doprowadzić do usunięcia tego poczucia wyobcowania wobec projektu zwanego Europą. W jednej sprawie całkowicie się z Panem zgadzam: to poczucie to rzeczywistość. Za to odpowiada zaś nie tylko Komisja Europejska, lecz również Rada Europejska. To znaczy, że rządy europejskie chętnie zrzucają na Europę rzeczy niepopularne. I, jeśli im to nie pasuje, nader chętnie polemizują z Europą. Jeśli jednak trzeba następnie podjąć konieczne, ale niepopularne decyzje, to chętnie pozostawia się je Radzie Europejskiej. Od tego momentu jest to sprawa Komisji Europejskiej, a rządy nie ponoszą już za to odpowiedzialności. W ten sam sposób ulega erozji wiarygodność projektu zwanego Europą i tak powstaje ów kryzys legitymizacji tego projektu, o którym to kryzysie Pan słusznie mówił. Powtórzę raz jeszcze: mamy interes w tym, żeby w naszych demokratycznie wybieranych parlamentach narodowych z wyprzedzeniem omawiać zagadnienia europejskie, zanim będą mogły zapaść zasadnicze decyzje władz wykonawczych.

Pytanie: Nie nazywałbym demokratycznej wypowiedzi narodu „pokusą“, nawet kiedy chodzi o Konstytucję Europejską. Wola narodu powinna być tu respektowana. Jeśli ta „pokusa“ to demokracja, to jestem całym sercem za tą pokusą. Mam inne pytanie, a mianowicie pytanie religijne, które na tym szczeblu naszej dyskusji jest bardzo ważne. My historycy mamy bardzo wiele materiałów źródłowych do nauki historii, bardzo wiele informacji na temat chrześcijańskiego dziedzictwa europejskiego. Sala, w której się znajdujemy, jest przecież tego dowodem. Apel „naszego“ papieża Jana Pawła II, a także Benedykta XVI, by włączyć nasze wartości chrześcijańskie do preambuły traktatu konstytucyjnego, przebrzmiał bez echa i nie został podchwycony. Jest tak, jak gdyby syn, który przychodzi do domu, wypierał się własnej matki. Jakie jest Pańskie stanowisko w tej sprawie?

Prof. Heinrich August Winkler: Co do pierwszego pytania, a zarazem jeszcze raz co do referendum: kiedy byłem asystentem w Instytucie im. Ottona Suhra Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego, miałem okazję do wielu rozmów z wybitnym prawnikiem i politologiem Ernstem Fraenklem, który powrócił z amerykańskiej emigracji do Niemiec. Ernst Fraenkel napisał kiedyś w pewnej rozprawie z lat 60. w odniesieniu do Niemiec i niemieckiego uprzedzenia do demokracji przedstawicielskiej mniej więcej tak: „Naród, który nie wierzy, iż jego parlament ma zdolność reprezentowania woli narodu, cierpi na demokratyczny kompleks niższości“. Miał na myśli Republikę Weimarską, okres, gdy demokracja plebiscytarna była popierana przez prawicę z użyciem argumentu, że tylko to, co ma legitymizację plebiscytarną, wyraża *volonté générale* w rozumieniu Rousseau, natomiast organy przedstawicielskie, takie jak Reichstag, jedynie *volonté de tous*, sumę woli wielu poszczególnych ludzi, której jakoby brak zintegrowania. Ze względu na to doświadczenie Fraenkel konsekwentnie optował za demokracją przedstawicielską, powiedział jednak, że musi ona znaleźć swe dopełnienie w silniejszej demokracji wewnętrzzpartyjnej. Na szczeblu państwa jako całości nie ma innej sprawnej formy demokracji niż przedstawicielska. Polska jest w tej szczęśliwej sytuacji, jeśli chodzi o to zagadnienie, że proeuropejskie większości najwyraźniej tworzą się łatwiej w społeczeństwie niż w Sejmie. Przynajmniej w ostatnim Sejmie, w którym, jak mi się wydaje, trudno było zarzucić rządowi, że jest szczególnie przychylnie nastawiony do Europy i integracji. Wszystkie badania opinii publicznej wskazywały jednak, że referendum w sprawie traktatu konstytucyjnego w Polsce zakończyłoby się pozytywnie. Tylko że sytuacja w wielu innych krajach, jak pokazują przykłady Holandii i Francji, jest niestety inna. A zatem, jako historyk, który zajmował się dziejami Niemiec w XX wieku, upieram się przy wyższości demokracji przedstawicielskiej.

Konstytucja V Republiki Francuskiej, wprowadzona za Charles'a de Gaulle'a, nadała plebiscytowi duże znaczenie. Z biegiem czasu uległo ono zmniejszeniu, ale prezydent wybierany plebiscytarnie ma bez porównania większą władzę niż parlament. Nie jest odpowiedzialny przed parlamentem. Może rządzić, apelując do narodu. Czy to lepsza forma demokracji niż ta, w której rząd stale musi tłumaczyć się w parlamencie? Uważam, że nie. Ten stały przymus legitymizacji, wyjaśniania swego stanowiska w parlamencie, walki o większości, jest nieskończenie bardziej przekonującą formą demokracji niż mobilizowanie większości kierujących się określonym nastrojem, które bardzo łatwo mogą doprowadzić do blokady polityki. Powtórzę, głównym powodem jest to, że w stosunkowo spolaryzowanym społeczeństwie odłamy skrajne stykają się ze sobą i mogą tworzyć

koalicje negatywne. Trzeba mieć to na uwadze, rozważając względne zalety i wady demokracji plebiscytarnej i przedstawicielskiej. Nie wolno, kierując się argumentem sytuacyjnym, entuzjastycznie popierać rozwiązania, które w ogólnym rozrachunku zawiera mnóstwo wad i potencjalnych niebezpieczeństw.

Jeśli chodzi o Pańskie drugie pytanie – gdyby Europejski Traktat Konstytucyjny był klasyczną konstytucją, porównywalną z konstytucją polską lub z Ustawą Zasadniczą w Niemczech, to debata o odniesieniu do Boga byłaby nader uzasadniona. W wypadku traktatu, który w rzeczywistości nie wyczerpuje cech klasycznej konstytucji, lecz jest raczej statutem organizacji, to pytanie jest nie na miejscu. Pokazuje to zresztą, jaki zamęt może wywołać pojęcie „konstytucja“, zastosowane na wyrost, patetycznie do takiego dokumentu, jakim był tak zwany Europejski Traktat Konstytucyjny.

Myślę, że trzeba najpierw wspomnieć o pewnym praktycznym argumente, zanim przejdzie się do spraw najbardziej zasadniczych. Kto chce, by Europejski Traktat Konstytucyjny upadł, zakładając, że ta decyzja jeszcze ma zostać podjęta, ten powinien dopisać doń jeszcze odwołanie do Boga, bowiem wtedy jest pewne, że Francja się nie zgodzi. Kto zaś chce się pozbyć Francji, powinien to powiedzieć. Laicka tradycja Francji sprawia, że żaden rząd nie może zaakceptować takiej konstytucji, która swoimi postanowieniami sankcjonuje określoną wiarę lub religię. Doprowadziłoby to do „nie“ Francji, a ponieważ nie chcemy wykluczyć Francji z Europy, myślę, że musimy także to zaakceptować jako rzeczywistość. Ale to był na razie tylko argument pragmatyczny. Zanim zajmę się bliżej tradycjami religijnymi, jeszcze jedna uwaga do tematu odwołania do Boga. A teraz powiem coś prowokacyjnego. Nie jestem przekonany, że każdy, kto domaga się odwołania do Boga, czyni to ze względów religijnych. Uważam, iż niekiedy dzieje się to z tak doczesnych powodów, że zastanawiam się, czy nie jest możliwe płynne przejście od odwołania do Boga do obrazy Boga. Myślę, że trzeba będzie podyskutować o tym także w Polsce.

Teraz zaś kwestia, czy w społeczeństwie pluralistycznym, w którym w każdym razie wielu ludzi nie podziela wiary chrześcijańskiej, a może wcale nie jest religijnych, można od tych ludzi wymagać zgody na odwołanie do Boga w konstytucji. Istnieje przecież polska formuła, która rozwiązuje ten problem niemal salomonowo. Brzmi ona mniej więcej tak: „zarówno wierzący w Boga, jak i nie podzielający tej wiary...“. To oczywiście eleganckie, ale niekoniecznie zgodne z wyobrażeniami zwolenników odwołania do Boga.

Kiedy w roku 1949 uchwalono w Bonn Ustawę Zasadniczą, wpisano do niej odwołanie do Boga: „Świadomy swej odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi“. Przyczyną było doświadczenie Trzeciej Rzeszy, ale proszę nie sądzić, że członkowie Rady Parlamentarnej byli wszyscy bez wyjątku przekonani chrześcijanami. W słowach tych znalazł wyraz pewien szacunek dla tradycji, którego nie dałoby się wytłumaczyć bez doświadczenia totalitarnego panowania narodowego socjalizmu. Konstytucja Weimarska nie zawierała odwołania do Boga. Dziś jednak żyjemy w społeczeństwie, w którym moim zdaniem trzeba przyznać, że spora część ludzi odebrałaby takie odwołanie jako gwałt. A czy demokratycznie jest gwałcić jakąś mniejszość? Uważam zatem, że trzeba bardzo trzeźwo i realistycznie podyskutować o tym, co właściwie zyska się na odwołaniu do Boga, które zostanie wpisane do konstytucji jedynie *pro forma*, bez stojącego za nim prawdziwego przekonania. Ani zwolenników, ani tym bardziej przeciwników. Wystawianie sumienia mniejszości na zmasowaną presję nie wydaje mi się usprawiedliwione również teologicznie. Nie jestem teologiem, ale sądzę, że także używając argumentów teologicznych należy raczej przestrzec przed pozornym powoływaniem się na Boga. Jest to symulowanie rzeczywistości, której już nie ma. Może w Polsce wygląda to inaczej niż w innych państwach, ale proszę nie odnosić tego do całej Europy.

Teraz zaś o wpływie religii na Europę. Mówiłem o tym zresztą obszernie w moim wykładzie. Tutaj chodzi o przedstawienie współzależności historycznych. I rzeczywiście uważam, że ktokolwiek będzie chciał napisać historię praw człowieka, nie uniknie pytania, jaki wkład wniosło w nie chrześcijaństwo. Bo wiem bynajmniej nie samo tylko oświecenie, lecz wspólne oddziaływanie oświecenia i tradycji chrześcijańskich doprowadziło w Stanach Zjednoczonych do wyniku w postaci deklaracji praw człowieka. Najpierw w Wirginii, potem, choć tylko w jednym zdaniu, w Deklaracji Niepodległości, potem w całym szeregu poszczególnych stanów. W Deklaracji Niepodległości USA jest mowa o *inherent rights*, nadanych ludziom przez ich stwórców. Była to taka forma odwołania do Boga, w Deklaracji Niepodległości, na którą – jako na formułę minimalną – mogli jeszcze przystać oświeceni deiści i przekonani chrześcijanie. Wielu ludzi jednak najwyraźniej nie chce pamiętać, że w konstytucji amerykańskiej nie ma odwołania do Boga. Należałoby się kiedyś zastanowić, dlaczego go nie ma. Może również dlatego, że wielu przekonanych chrześcijan doszło wtedy do wniosku, że jest to doczesny, bardzo świecki dokument. Zwrócenie uwagi na wkład starożytności, judaizmu i chrześcijaństwa to zresztą zadanie moim zdaniem głównie tych wszystkich, którzy zajmują się historią. Uznanie tej

tradycji nie zależy od tego, czy zostanie ona wpisana do jakiejś konstytucji. Powinniśmy także jako historycy mieć wystarczająco wiele wiary w siebie, by powiedzieć, że wskazywanie na udział chrześcijaństwa w dziejach podziału władz, dziejach praw człowieka jest przede wszystkim zadaniem badań historycznych. Żeby jednak zachować uczciwość, trzeba też wskazać na opór tradycyjnych Kościołów przeciwko przeforsowaniu praw człowieka, przeciwko oświeceniu. Nie można tego przecież po prostu wziąć w nawias w imię jednego, być może popularnego w pewnych kręgach stanowiska. Tak samo jak z jednej strony nie da się wyjaśnić oświecenia bez tradycji chrześcijańskiej, tak samo z drugiej strony istniał opór realnie istniejących Kościołów, katolickiego w jeszcze większym stopniu niż ewangelickiego, przeciwko oświeceniu. Nie jest przecież tak, że niezbywalne prawa człowieka zostały przeforsowane głównie przez Kościoły. W Stanach Zjednoczonych to głęboko religijni przeciwnicy wszelkiego rodzaju Kościoła państwowego pierwsi opowiedzieli się za wolnością religii, a następnie w szerszym rozumieniu za wolnością słowa. Jednak właściwi twórcy konstytucji byli oświeconymi deistami z Wirginii i znalazło to swoje odbicie w końcowym wyniku. Był to niezwykle złożony wynik! W preambule Europejskiego Traktatu Konstytucyjnego znajduje się zresztą bardzo neutralnie sformułowane odniesienie do tradycji religijnych. Ale w wersji francuskiej nie są to *traditions religieuses*, lecz *traditions spirituelles*. Także tutaj znowu to laickie zastrzeżenie, to świeckie ujęcie. Jeśli chcą Państwo stworzyć Europę, to nie będą mogli Państwo tego zrobić wbrew francuskim zadeklarowanym zwolennikom laicyzmu! Nie mogą Państwo tego zrobić, negując pluralizm i nie uznając faktu, że agnostycy i ateści to obywatele mający takie same prawa jak przekonani chrześcijanie, którzy generalnie znajdują się w Europie w mniejszości. Jeśli spotykają dziś Państwo w Europie człowieka religijnego, to patrząc statystycznie jest to prawdopodobnie raczej muzułmanin niż chrześcijanin. To wszystko trzeba przemyśleć, zanim zacznie się na tym poziomie, muszą tak powiedzieć, uprawiać politykę siły, żeby przeforsować własne stanowisko. Nie byłoby to szczególnie chrześcijańskie.

Prof. Rościsław Żerelik: Dyskutujemy o Unii Europejskiej, o naszej Wspólnej Europie – Oratorium Marianum to sala, która jest z nią związana jak żadna inna. Tu odbyło się premierowe wykonanie Międzynarodowej Pieśni Studentów. Tym przypomnieniem chciałbym zakończyć nasze spotkanie. Pragnę podziękować profesorowi Winklerowi za jego znakomity referat oraz Jemu i Państwu wszystkim za inspirującą dyskusję. Jednocześnie mam nadzieję na dalszą współpracę zarówno z profesorem Winklerem, jak i Fundacją im. Friedricha Eberta.

Prof. Heinrich August Winkler: Ogromnie się cieszę, że na zakończenie padła jeszcze wzmianka o Johannesie Brahmsie i jego Uroczystej Uwerturze Akademickiej. W ten sposób jeszcze wyraźniejsze stało się to, co łączy Europę z tą wspaniałą salą. Cieszę się, że miałem dziś przywilej wygłoszenia po raz drugi wykładu w tej sali. Bardzo serdecznie dziękuję!

Publikacje wydane dotychczas w ramach serii wykładów we Wrocławiu:

Heinrich August Winkler

Polskie wyzwolenie, niemieckie zjednoczenie.

Trudna droga do rozwiązania dwóch kwestii stulecia

Polnische Befreiung und deutsche Vereinigung.

Der mühsame Weg zur Lösung von zwei Jahrhundertfragen

Partner: Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego

Warszawa 2002

Dieter Langewiesche

Państwo centralistyczne – państwo federalne.

Modele państw narodowych w XIX i XX wieku

Zentralstaat – Föderativstaat.

Nationalstaatsmodelle im 19. und 20. Jahrhundert

Partner: Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego

Warszawa 2003

Hans-Ulrich Klose

Unia Europejska i NATO.

Aktualne zagadnienia polityki europejskiej

Europäische Union und NATO.

Aktuelle Fragen der europäischen Politik

Partner: Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego

Warszawa 2004

Erhard Eppler

Jakiej chcemy Europy?

Welches Europa wollen wir?

Partner: Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego

Warszawa 2005

Angelica Schwall-Düren

Niemcy i Polacy – partnerzy w kształtowaniu aktywnej polityki wschodniej?

Deutsche und Polen – Partner für eine aktive Ostpolitik?

Partner: Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego

Warszawa 2006



Prof. Heinrich August Winkler